

## Szukamy Stajenki (możliwie nieszkliwionej) [FELIETON]

„Motywy świąteczne” jakie widzimy na ulicach i w kościołach to wynik zmagania wiary, doktryny, sztuki wysokiej, popkultury, ludomanii, lenistwa, komercji, konformizmu, ignorancji i ideologii – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Ostatnie dwa tygodnie przyniosły sporo nowego jeśli idzie o, jak mawiają kuratorzy, oprawę graficzną świąt Bożego Narodzenia. Pani Oli Jasionowskiej, graficzce Biura Marketingu M.St. Warszawy udało się najpierw kolejny już rok zaprojektować kilka świątecznych plakatów mistrzowsko wolnych od rozpraszać uwagę wątków religijnych (jakieś tam osły czy inne anioły) a następnie już po godzinach, jako freelancer, wymyśliła dla Cafe Kulturalna, placówki czynnej od lat przy Teatrze Dramatycznym, opłatek bezglutenowy z błyskawicą. Tak, opłatek. Z błyskawicą. Zdrowia, szczęścia, pytanie, co pada jako trzecie życzenie. Potem było jeszcze kilka zdumień, że artystki-aktywistki Strajku Kobiet kolędują małemu na płytach i na estradzie, tak, jakby naprawdę nikt już nie czytał Miłosza:

„....rozdwojenie  
Istoty na kwiat i korzenie,  
Poczucie, że te moje czyny  
**spełniam nie ja, ale ktoś inny.**

Kark skrócić komuś jest drobnostką,  
Potem Komedie czytać Boską,  
Czy stary oklaskiwać kwartet,  
Lub dyskutować awangardę”

A potem, potem na placu świętego Piotra pojawiła się szopka która, jak wiemy już z licznych publikacji, wcale nie ukazuje Marsjan, Klingonian ze Star Trek ani totemów, jak sądziły nieuki, wypatrujące na niedoświetlonych zdjęciach kobiety, mężczyzny i dziecka. Jest po prostu liczącym sobie już pół wieku zbiorowym dziełem wychowanków liceum z Castelli, zbudowanym, a jakże, z pierścieniowych ceramicznych modułów i nawiązującym do „sztuki starożytnej, greckiej i sumeryjskiej, a także do rzeźby starożytnego Egiptu”.

Teraz już wszyscy to wiedzą, bo artykułów w obronie pierścieniowych ceramicznych modułów pojawił się tylko w Polsce co najmniej tuzin. Podział przeprowadzono w nich czytelny: jak komuś się nie podoba – znaczy filister z Lichenia, entuzjasta plastikowych flasz na wodę święconą. Wątpliwości w tej kwestii ostatecznie rozwiął na łamach „Więzi” ks. Andrzej Draguła, który nie tylko zacytował Abrahama Molesa z jego znanej pracy „Kicz, czyli sztuka szczęścia” (Warszawa, 1978), ale i sięgnął po moją ulubioną osobę gramatyczną, czyli tzw. „my wyłączające” (nowoczesne zaimki są ostatnio w cenie). „Nasze gusta sacro-estetyczne to w większości – niestety – późne wnuki kiczu, a czasami wręcz jego bezpośredni spadkobiercy” pisze ksiądz profesor. Etam. „Nasze”, czyli Polaków-cebulaków, ale przecież nie autora, któremu, jak deklaruje, „szopka się naprawdę podoba”.

Te perypetie bezglutenowych, przepraszam, ceramicznych modułów ożywiają oczywiście atmosferę, ale zarazem wpisują się w dzieje ciekawych, bo wielowiekowych zmagania: akulturacji, ale i osławiania, zagłaskiwania Dobrej Nowiny.

Zwykle, kiedy mowa o akulturacji, rozmówcy dokonują skoku do starożytności lub przynajmniej średniowiecza. Jedni, jak Michał Aleksandrowicz... nie, po prostu Misza Berlioz potrafią bardzo zajmująco opowiadać o Ozyrysie i o tym, jak Aztekowie lepiłi z ciasta figurki Huitzilopochtli. Inni zwracają uwagę na estetykę iroszkockich manuskryptów: skoro nikt nie kwestionuje, że są dziełem sztuki, podobnie jak ikony etiopskie, mimo, że rysy mają nieklasyczne, to czemu czepiacie się szklawionych nawiązań do sztuki sumeryjskiej, filistrzy?

*Perypetie ceramicznych modułów ożywiają oczywiście atmosferę, ale zarazem wpisują się w dzieje ciekawych, bo wielowiekowych zmagania: akulturacji, ale i osławiania, zagłaskiwania Dobrej Nowiny*

To są jednak sprawy, o których trochę już napisano. Znacznie świeższe i przez to ciekawsze są zmagania wiary, doktryny, sztuki wysokiej, popkultury, ludomanii, lenistwa, komercji, konformizmu,

ignorancji i ideologii, jakie śledzić można na przykład na widokówkach świątecznych późnego PRL i ZSRS. To zbyt obszerny temat, by go tu

rozwinąć, wspomnę tylko o kilku znamienych wątkach. W PRL, gdzie z doktryną zawsze było jak z siodłaniem krowy (czy może wołu, by pozostać przy wątkach pastoralnych) wolno było więcej. Były więc, przynajmniej za Gierka, reprodukcje szopek, laleczki-kolędnicy z gwiazdą i turoniem, czasem nawet sama gwiazda betlejemaska ze słomy, wszystko, co dało się podciągnąć pod neofolkową nutę i oprószyć gwiazdkami z celofanu. Do tego banderola, na której religianckie niestety „Wesołych Świąt” neutralizowane było przez „Szczęśliwego Nowego”, a czasem „Do siego” (neofolk!) Roku. W Sowietach o kolędnikach mowy oczywiście nie było, ale za późnego Breżniewa pojawiał się już czasem zgroteskizowany Died Moroz i Snieguroczka w staroruskim kokoszniku, choć chętniej rysowano zarumienioną od mrozu dziatwę, ośnieżony Kreml, narciarzy, a osobliwie Dieda Moroza za sterami krążącego wokół Ziemi wahadłowca, co wydaje mi się naprawdę zaniedbanym wątkiem z dziejów rosyjskiego kosmizmu.

Warto zauważyć, że nie było to proste przeciąganie liny w trójkącie ideolodzy – cenzura – pobożni graficy. Artyści liczyli na chałturę, ludowość była w cenie, partia chciała pokazać ludzką twarz (czy ktoś jeszcze pamięta, że choinkę w przedszkolach przywrócono w ZSRS w 1935 z inicjatywy Pawła Postyszewa, przyjaciela dzieci i nadzorca Hołodomoru?), kioskarze Ruchu mieli nadzieję sprzedać trochę widokówek. I tak to się kręciło, trudno dziś powiedzieć, kto komu ustępował: partia przed presją tradycji czy graficy przed zapisem cenzury na Świętą Rodzinę? Taka gimnastyka przetrwała zresztą PRL, czego wzruszającym, choć zetlałym już niestety świadectwem są ostatnie zachowane zwitki sianka, jakie ongiś „Gazeta Wyborcza” dołączała do wydania świątecznego. Podobno, kiedy dla pracowników Agory urządzane są wykłady o wypieraniu ze zbiorowej pamięci niechcianych, wstydlivych prawd (jest to znana w świecie przywara Polaków) najodważniejsi prelegenci wyciągają czasem z teczki kruszącą

im się w rękach garść sianka z roku 2006 i podnoszą ją, sypiąc obficie paprochami na stół, przed oczami struchlałego ze zgrozy i obrzydzenia audytorium. Oczywiście żartuję: nikogo w Agorze nie trzeba uczyć o wypieraniu przez Polaków wstydliwych prawd ze zbiorowej pamięci.

Równie złożoną wypadkową wielu racji, uprzedzeń i obaw jest spór o tegoroczną szopkę watykańską. Ktoś chciał odkurzyć niebanalne rzeźby, tkwiące w magazynie, ktoś pomyślał, że przyda się odmiana od wiecznego italo-sacro. Setka zaś intelektualistów miała okazję pouczyć filistrów, że – tak, tak! – „ładność” jest letnia, prawdziwa sztuka niejednoznaczna, mamy XXI wiek i wstyd jak beret, a właściwie wstyd jak Brancusi tak się nie znać.

Można by oczywiście skontrolować ten banał i paternalizm jednym psztyknięciem, przytaczając opinię Lake’a, zapoznanego wykładowcy z kart „Pnina”, który żywił przekonanie, że „nie ma żadnej różnicy między pretensjonalną akwarelą dnia wczorajszego a dzisiejszym konwencjonalnym neoplastycyzmem czy banalną sztuką nieprzedstawiającą”, zaś „dzieło sztuki stworzone ze sznurka, znaczków pocztowych, lewicowej gazety i gołębic odchodów bazuje na wielu nudnych banałach”. Ale można się też zgodzić, że ładność jest letnia, że warto przetwarzać zbyt już zastępe motywy, i eksperymentowanie z szopką wydałoby mi się całkiem na miejscu na jakimś watykańskim Triennale, nawet, jeśli kurator nazwałby je „radikalną rekontekstualizacją tradycyjnych motywów presepialnych”.

Tyle, że wznoszona na przykościelnym placu albo przy bocznym ołtarzu szopka, aż trochę głupio to tłumaczyć, nie do końca jest obiektem gry w RR, radykalną rekontekstualizację. Nie jest już,

*Wznoszona na  
przykościelnym placu szopka,  
aż trochę głupio to tłumaczyć,  
nie do końca jest obiektem gry  
w RR, radykalną  
rekontekstualizację*

oczywiście,  
elementem Biblii  
Pauperum, większość  
ludzi umie dziś  
czytać, nawet  
filistrzy, no a dzieci  
mają książeczki do  
kolorowania. Ma  
jednak inną funkcję.  
„O, jakże trwałe. O,

jak potrzebujemy trwałości”: to też Miłosz. Gdzieś między prawdą o Wcieleniu a smakowaniem śledzia, co jest już tylko obyczajem (aczkolwiek nader smacznym, szczególnie, jeśli nie zapomnieć o dodaniu ziela angielskiego, a cebula nawet lepsza fioletowa, byle pokroić w naprawdę drobne piórka) tkwi potrzeba szopki. Właśnie takiej, jak ją sobie wymyślili barokowi misjonarze: kolorowej, drewnianej, słomianej, a najlepiej jeszcze z oślim uchem. Szkliva jakoś nie chce się pogłaskać gołą dłonią, przynajmniej w grudniu; w tym cały kłopot.

To są oczywiście uwagi, które można sobie wygłaszać, a karawana, by nadal pozostać przy motywach pastoralnych, jedzie dalej. W tym roku wzięto wprawdzie na warsztat szopkę, opłatek i kolędowanie, pani Ola Jasionowska oszczędziła jednak łaskawie podłazniczkę, choć tak łatwo byłoby zrekontekstualizować ją na symbol szklanego sufitu albo odwrotnie, emancypacji. Zdaje się, że nie zadbano również w 2020 o nadanie nowych znaczeń bombkom: przejrzałem kilka katalogów hut szkła, i jak co roku zabrakło już „Jeżyka” oraz „Mikołaja na saniach”, można zaś jeszcze dostać ponadprzeciętnie kiczowatą „Dziewczynkę z sarenką”. I przyznam, że tego akurat zaniedbania awangardzistów trochę mi szkoda: awantura o bombkę uświadomiłaby nam może, jak dęte bywają nasze spory.

*Wojciech Stanisławski*

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

